Nr. 6. Lwów, dnia 10. lutego 1892 r. • Wydawnictwa Rok XV.

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo humorystyczno-satyryczno-literackie, illustrowane.

Numer pojedyńczy **20.** ct. w. a. — Dodatek osobny dla nieprenumeratorów **10.** ct. w. a.

Goniec i **Iskra** wychodzi: 1., 10., i 20, każdego miesiąca, zaś **dodatek osobny** również **illustrowany** 25 każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują osobne *bezpłatne premia illustrowane.* Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z **osobnym dodatkiem** i **premiami** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Dodatek osobny** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry" kosztuje **10 ct. w. a.** W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australjii innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku, Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi. lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.

Chce się dowiedzieć...



— Zdaje mi się, moja żono. że przybrałaś pozę trochę nieprzyzwoitą — w publicznem miejscu, w restauracji tak nie można...

— Ja tak umyślnie... Ci co nas nie znają — niech myślą, że jesteś na kolacji ze swoją kochanką... Raz niech się dowiem, jak to smakuje...

Czy ma słuszność?...



— Proszę pana, tyle lat mieszkamy, dlaczego pan podwyższył nam teraz czynsz za mieszkanie?.. Ciężkie czasy — powinny być mieszkania tańsze, szczególniej dla urzędników...

— A proszę pani — urzędnikom dają drożyźniany dodatek — a któż nam da, jeśli go sami sobie nie weźmiemy?...

Bez ogródki...



— Mógłbyś nie kłaść kapelusza w moim pokoju i nie zapalać cygara...

— Zaraz wychodzę...

— Wszystko jedno — nie lubię dymu, a lubię dobre wychowanie...

— W małżeństwie trzeba się przyzwyczaić do wielu rzeczy, a odzwyczaić od nie jednej...

— Przyzwyczaiłam się też do wielu, a odzwyczaić chciałabym się od jednej...

— Od jakiej?

— Od męża..

Od ręki.

= Kronika żałobna.

Rozstał się z tym światem Antoni Adam Kłobukowski, redaktor *Czasu*, oficer wojsk polskich z r. 1831 i jedna z najsympatyczniejszych postaci krakowskich. Odbył chlubnie całą kampanję, brał udział w kilku bitwach, głównie pod Międzyrzeczem i po poddaniu się Warszawy, a wraz z korpusem jenerała Romarino, przeszedł do Galicji. Jako człowiek światowy, bardzo wykształcony, znalazł wkrótce stanowisko i przez kilka lat był nauczycielem ks. Marceliny Czartoryskiej. Porzucił, jednak, pedagogję i od r. 1840 poświęcił się stale dziennikarstwu. Wówczas powstał w Krakowie organ polityczny *Czas* i śp. Kłobukowski wszedł w skład redakcji.

Oddawał się mniej polityce, lecz za to z całem zamiłowaniem uprawiał część literacką. W tej epoce wyszło z pod jego pióra wiele artykułów, odznaczających się wzorowym stylem i piękną formą.

Po śmierci Sobolewskiego, zaczął podpisywać się, jako odpowiedzialny redaktor *Czasu* i na tym posterunku wytrwał do ostatnich chwil swojego życia.

Zmarły posiadał charakter nieposzlakowany. Uczynny, przyjacielski, nigdy o nikim nie powiedział złego słowa i przeciwnie, jeżeli w jego obecności wyrażano się nieprzychylnie, nawet o mniej mu znanych osobistościach, bronił ich z całą siłą, bo zawsze utrzymywał: „że wszyscy ludzie są dobrzy i tylko nieszczęścia sprowadzają ich na drogę nieuczciwą“. Liczył około 80 lat i mimo tak późnego wieku, zachował do końca czerstwość umysłu. Na kilka tygodni przed ogonem brał jeszcze czynny udział w pracach rodakcyjnych.

Z nim schodzi do grobu człowiek prawy.

We Lwowie w tych dniach, umarł ś. p. dr. Grzegorz Ziembicki. Długi jego żywot: 86 lat — był jednym ciągiem pożytecznego życia. Był wszędzie, gdzie być powinien — pracował, cierpiał, kochał, poświęcał się... Lekarz zdolny, patrjota szczery, gorący — od najmłodszych lat życia służył szlachetnym celom i dobru tej ziemi rodzinnej, którą nad wszystko ukochał. Chlubą społeczeństwa był sędziwy starzec, lekarz wojsk polskich w 1830-1831 roku, przebył on całą kampanję z pułkiem, w którym poprzednio, jako młody chłopak, był żołnierzem. W latach po 1831 r. na polu publicznem działał i pracował, poświęcając się praktyce lekarskiej, którą posiadał bardzo szeroką. Był dobrym człowiekiem w całem głębokiem pojęciu tego wyrazu — a przedewszystkiem — dobrym dla drugich...

Wkrótce postaramy się zamieścić portret zmarłego.

= Fikalstwo w medycynie...

Co prawda, dziwnie jakoś brzmi: bal lekarzy.. Możeby, ostatecznie, lepiej było: bal lekarski, bo na nim, można się wyleczyć z nie jednej iluzji... Specjalność w zawodzie fikalstwa, jest „specjalnością“ Lwowa — jest bal prawników, jest bal rzeźników — dlaczegoby nie miał być bal lekarzy?... Ale to nie był bal, tylko piknik...

Jakaż jest różnica między balem, a piknikiem?

Zasadnicza.

Bal jest: funt świec, a piknik: świec funt...

Ze stanowiska specjalnego, jest taka różnica pomiędzy balem, a piknikiem, jaka jest np. pomiędzy: aqua phagadenica nigra, a aqua phagadenica flava... I podobno na balu więcej się tańczy, a mniej je i pije, a na pikniku mniej tańczy a więcej się nadziewa i nalewa...

Więc był we Lwowie, nie chwaląc się, piknik lekarski. Pisma codzienne doniosły, że, co Lwów miał najpiękniejszego, wszystko tam było... Czy, doprawdy, nic już nie brakowało? Biedny Lwów. Zapewne — dlaczegoby lekarz młody nie miał potańczyć, kiedy to się stało taką potrzebą na świecie, jak kwaśne mleko na żołądek — dlaczegoby nie miała poskakać młoda żona starego lekarza, która zazwyczaj nie solidaryzuje się z naukowemi aspiracjami męża uważając go tylko za wydoskonaloną maszynę do robienia pieniędzy, daleko dokładniejszą, jak urzędnik, albo przemysłowiec, lub kupiec. Ale, czy do takich rzeczy potrzeba aż specjalnych balów, pikników lekarskich? czy zachodzi, istotnie, potrzeba systematycznego i prawidłowego uprawiania fikalstwa wsród ludzi, których nauka postawiła może najwyżej po nad małostki i mizerję życia, bo... ratują to życie i znają je na wylot — to, chyba nie... Potrzeby towarzyskie, nie mogą i nie powinny się ograniczać specjalnością zawodu — różnolitość zajęć, stykanie się ludzi rozmaitych zawodów — jest zadaniem towarzyskiem — ale, żeby bawić się, jeść i pić, że się tak wyrażę, w specjalności zawodowej — to się prędko przeje, bo to nienaturalne...

Rozrywka... Oczywiście, potrzebna, ale u nas mniej, jak gdziekolwiek indziej, bo i tak rozrywają nas na wszystkie strony... Rozumiem „fikać“, gdy jest ochota, choćby na piasku — ale fikać urzędownie, na obstalunek, na oznaczony termin, publicznie, jak na licytacji — to mimo woli przypomina się, niedawno jeszcze istniejąca komenda w wojsku portugalskiem: „zrób minę na nieprzyjaciela!“ Robili też nasi lwowscy Eskulapi na pikniku minę: epuzerów, danserów, froterów, causerów, i, podobno, nie źle im się udawało — większość, jednak, przytuliwszy się w kącikach do buteleczki, lub kufelków piwa, gwarzyła o... piasku w nerkach, o cukrze tam, gdzie jest nie potrzebny i o innych dziurach w mieście, a także i o piknikach lekarskich...

= Nie podobne do prawdy, a jednak...

Jak się wam zdaje — ile też może być minut od narodzenia Chrystusa?..

Chyba jest mniej włosów na głowie u całego pułku grzywiastych dragonów — nieprawda?...

Nieprawda!

Od narodzenia Chrystusa, mamy 1891 lat i niespełna dwa miesiące, a minut nie ma jeszcze całego... miljarda!...

Czy być może?...

Nie wierzycie?...

Pomnóżcie więc 60 × 24 — potem cyfrę ztąd wynikłą przez 365; następnie to, co z tego otrzymacie przez 1891, a przekonacie się, że od przyjścia Chrystusa na świat do obecnej chwili dobiegać będzie zaledwie miljard minut!...

Przypomniało się ludziom o tem, z powodu pewnego senatora francuskiego, który zmarł w tym czasie, a który, gdy podczas wojny francusko-niemieckiej debatowano nad tem, że prusacy żądają od francuzów pięć miljardów okupu, w uniesieniu zawołał: „Pięć miljardów franków! A toż jeszcze nie upłynęło miljard minut od narodzenia Chrystusa Pana!“..

Bajka bez tytułu.

Była godzina siódma wieczorem. Deszcz ze śniegiem prószył nieprzyjemnie, nie dziw więc, że mało było ludzi na ulicach — każdy spieszył do swego zakątku, bogaty, czy biedny.

Zajrzyjmy więc do wnętrza takiego zakątka — wejdźmy do środka — lecz nie do biedaka, bo i cóżbyśmy mogli zobaczyć? Nędzę, nędzę i — jeszcze raz nędzę. Woń niemiła stęchlizny raziłaby nasz wydelikacony zmysł powonienia — a jęki zgłodniałego dziecka, mogłyby jeszcze łzy nam sprowadzić do oczu — po cóż więc szukać wzruszeń niepotrzebnych? Czyż nie stokroć przyjemniej zajrzeć do mieszkania jednej z kamienic przy ulicy Trzeciego Maja — gdzie zamiast przykrej woni, drażni nas mile zapach heliotropu?...

. . . .

* * *

W niebieskim buduarze, urządzonym przepysznie, spoczywa na kozetce w pozie na pół leżącej, młoda piękna kobieta. Na bladej twarzy rozlewa się słabe światło niebieskiej lampy. Jasne pukle jej włosów spadają niedbale na łabędzią szyję, lekko obnażoną.

U nóg jej klęczy mężczyzna, równie piękny i młody — i dwoje tych ludzi patrzy na siebie, jak gdyby pierwszy raz, właśnie, wyznali sobie, że się kochają. On pieści jej ręce, do ust od czasu do czasu podnosząc i namiętnie mówi:

— Janko moja, czy wiesz, że jutro przypada dwuletnia rocznica naszego ślubu? czy pamiętasz aniele ów dzień, kiedym cię pierwszy raz wprowadził do tego gniazdka, a tyś drżąca, zarumieniona, tuliła główkę do mych piersi? Pamiętasz moja pieszczotko, jak Amor złośliwie się do nas uśmiechał — tak samo, jak i teraz — a ja upojony mem szczęściem, szeptałem ci słowa miłości — czy pamiętasz to wszystko moja królowo, mój skarbie ty złoty?

— Czyż można zapomnieć o czemś, co trwale panuje w naszem sercu, Henryku? Ty wiesz — ty to musisz czuć, że ja twoja, twoja na zawsze... Wiesz, czasami się dziwię, jak mogłam istnieć przed naszem poznaniem — żal mi tych chwil przeżytych bez ciebie — a teraz zdaje mi się, że ty i ja, to jedna osoba — jedna w nas dusza.

On zamiast odpowiedzi całował ją, całował i całował... W jednej chwili, myśl jakaś, jak błyskawica odźwierciadliła się w jego ognistych oczach — spojrzał na zegarek.

— Cóż znaczy ta nagła chmurka na czole mego pana?

— Przypomniała mi się ważna sprawa... A każde z tobą rozstanie, tak mi jest przykrem...

— Cóż to za ważna sprawa — intrygujesz mnie — wszak jutro możesz to załatwić — ach! pewnie dla mnie myślisz o jakiej niespodziance, co? nie zgadłam?...

Zgadłaś filutko... to mówiąc, złożył pocałunek na białem czole swej żony obiecując, że na skrzydłach miłości powróci nie długo. — Wyszedł.

Janina chwilę stała zamyślona, nagle pobiegła do biurka, a napisawszy kilka słów na bilecie — gorączkowo zadzwoniła.

We drzwiach ukazała się panna służąca.

— Kasiu, weź ten bilecik — i zanieś go, wiesz, na pierwsze piętro... Rozumiesz?...

— Rozumiem — proszę pani, odrzekła domyślna dziewczyna.

I tak w kwandrans po odejściu męża, wszystko było tak samo — piękna pani spoczywała na kozetce — Amor złośliwie się uśmiechał, tylko, zmienił się główny bohater: zamiast Henryka, klęczał u nóg Wacław... z drugiego piętra, zdrowy, rumiany i czupurny diurnista...

— Czasem mi, jednak, dziwna myśl przychodzi do głowy...

— Jaka? jaka? — pytała rozmarzona kobieta.

— Twój mąż taki przystojny, młody jeszcze — dlaczego ty go nie kochasz?...

— Bo... bo... blondyn — ja blondynów znieść nie mogę... I zatopiła drobne rączki w czarnej czupurynie rumianego blondyna...

A Henryk?

— Henryk, w małem mieszkaniu na Chorążczyźnie nie klęczał, lecz siedział wygodnie na kanapie paląc papierosa — za to u nóg jego klęczała, położywszy główkę nieco rozczochraną, o czarnych, jak węgiel włosach... brunetka.

— Dlaczego ty nie kochasz swojej żony — taka ładna kobieta?...

— E, co tam o tem będziemy gadać...

— Ale kiedy ja chcę wiedzieć!..

— No dlatego, że blondynka — i zamknął pocałunkiem usta brunetce...

— A mnie tam wszystko jedno, jakie wy macie włosy...

Y. m. — *Y. m.*

Ścierka i pokojowa.

— „Ach! cóż ja za nieszczęśliwa!"
Rzecze ścierka powalana —
„Mną się wszystkie brudy zmywa:
Sług i dzieci, pani, pana —
Nie mam plamki — jakem żywa!
Cudze brudy czyść od rana —
Wolałabym płótnem zostać..
Niż skalaną mieć tę postać!...

. . . .

Pokojowa słysząc żale,
Jak nie zgrzytnie ścierce onej:
„Jeszcze szemrać śmiesz zuchwale?
Zamiast bić mi tu pokłony!
Jam prostaczą — grubą wcale
Wprowadzam cię na salony!...
Będziesz państwa brudy myła,
Chocieś o to nie prosiła"...

Fr. Lasocki.

Córka Socjalisty.

Powieść z angielskiego.

(Ciąg dalszy — patrz Numer 5)

Mary bowiem patrzyła, otwierając szeroko oczy, na dziecko, które lord Lashmar trzymał na ręku. Istotnie, dziecko w koszulce, jakby prosto z łóżka wzięte, było dosyć oryginalnym pakunkiem w rękach młodego dżentelmana, zwłaszcza o północy.

— Tatko! — wołała dziewczynka żałośnie, a jej wielkie, czarne oczy napełniały się łzami — gdzie jest tatko? Ja chcę do tatki!

Lord Lashmar popatrzył na nią zakłopotany. Cóż mógł powiedzieć na uspokojenie i pocieszenie tego biedactwa, coby nie było rozmyślnem kłamstwem? Szczupła pierś dziecka podniosła się łkaniem.

— Tatko! — zawołało płacząc — gdzie jest tatko? Czy się spalił, czy się co złego stało? Ja chcę koniecznie iść do tatki.

— Zaraz, zaraz — szepnął Lashmar łagodnie — pójdziesz, kochanie, pójdziesz, tylko trochę później. Proszę pani, daj jej pani trochą mleka i biszkopcik. Biedactwo głodne być musi.

— Biedactwo! — powtórzyła gospodyni z politowaniem. — Chcesz ciasteczka, kochasiu? Mary, przynieś mi szklankę mleka i ciastek.

Ale gdy poczciwa kobiecina chciała wziąść dziewczynkę na ręce, ta przytuliła się silnie do Lashmara.

— Zanieś mnie pan do tatki — prosiła, patrząc pochmurnie na gospodynią i odtrącając wszelką czułość z tego źródła.

— Na honor, milordzie, za wiele zadajesz sobie kłopotu — zawołał Spilington, który skończywszy popijać swoją »brandy« z wodą sodową, niecierpliwił się, jak przystało na człowieka, który jadł wcześnie obiad i widzi, że mu się jeszcze z wieczerzą ociągają. — Zostaw pan dziecko pod opieką właścicielki hotelu, a jutro oddaj je właściwym władzom. Jak żyję nie widziałem takiego morusa. Śniade to, jak noc w grudniu.

— Cygańska krew, proszę pana, powiadają, że żona Boldwooda była cyganką.

— Czy powóz już gotów? — zapytał Lashmar.

— Za pięć minut, milordzie.

Mary przyniosła tymczasem mleko i ciastka, a lord Lashmar starał się pieszczotami skłonić dziewczynkę, aby się trochę posiliła. Napróżno! Mała wciąż płakała i odepchnęła jego rękę.

— Gdzie tatko? gdzie tatko? — powtarzała boleśnie.

Lord Lashmar owinął ją szalem i zniósł ją do powozu. Pułkownik Spilington zapiął paltot na piersiach i usadowił się w kąciku.

— Byle tylko ta płaczka spać mi pozwoliła — myślał — i tu Opatrzność okazała się dlań łaskawą, bo nim kamienice miasteczka pozostały za niemi, córka Boldwooda usnęła na piersiach Lashmara i pułkownik mógł chrapać swobodnie.

Sen nie nawiedził ani na chwilę powiek młodego lorda, podczas tej długiej przejażdżki przy świetle gwiazd. Myślał o tej twarzy zmarłej, o rysach ściągniętych, wykrzywionych gwałtownością zgonu — twarzy, w której każda linja mówiła o silnym duchu w silnem ciele. I ten człowiek, który był taką potęgą w swym robotniczym cechu, ten człowiek zniknął już na zawsze i pozostała po nim bezduszna masa ciała, przeznaczona na to, aby się w garść popiołu w łonie ziemi obrócila.

Było już po pierwszej, gdy patryjarchalna landara wtoczyła się w aleję wiodącą do Lashmar-Castle. Rzeka odbijała w sobie światło gwiazd, tajemnicza i piękna pośród swoich ciemnych brzegów i wierzb pochylonych, a okna zamku błyszczały także i niskie gotyckie drzwi stały otworem pod ciężkim, kamiennym portykiem, ukazując wnętrze oświetlonej sieni. Lady Lashmar i Wiktor wyszli z białego saloniku, gdy powóz stanął.

— Ach! kochany pułkowniku! myślałam, że pan już nie przyjedziesz! — zawołała pani domu. Jakże straszliwie musisz być głodnym. — Ujrzawszy nagle małą twarzyczkę otuloną pąsowym, jedwabnym szalem, która na ramieniu Lashmara spoczywała, krzyknęła: — Na Boga, Lashmarze! cóż to jest takiego!

— Dziecko, pani! a raczej djablątko, latorośl demagoga Boldwooda, wyratowana z płomieni przez tego młodego bohatera. Na honor, lady Lashmar, musisz być pani dumną ze swego syna — rzekł pułkownik, z trudnością zbierając myśli, bo zatrzymanie powozu wyrwało go z najgłębszego snu.

— Tyś ocalił dziecko Boldwooda — wykrzyknęła milady, patrząc na osmaloną twarz i poszarpane, krwią w paru miejscach spalone odzienie pasierba. — Jakim sposobem?

— Wdrapał się na szczyt czteropiętrowego domu, był to jeden z najśmielszych czynów, jakie mi się zdarzyło widzieć — odparł pułkownik. — To istny cud, że go tu żywcem przywożę.

— Lashmarowie byli zawsze odważni — rzekła milady — poczem z pewną ceremonjalnością, która mroziła pułkownika, pocałowała pasierba w czoło.

— Nie miałeś prawa narażać twego życia dla dziecka tego człowieka — rzekła. — Dla czegóż Boldwood sam mu na ratunek nie pospieszył?

— Pospieszył, łaskawa pani, ale nie udało mu się i przepłacił to życiem — rzekł pułkownik.

— Życiem — Boldwood zabity?

— Tak, matko, nie będzie już nas więcej niepokoił. Nie żyje, a to jest po nim sierotka.

— Ależ na Boga, pocóż ją tu przywiozłeś? Dla czegóżeś ją od razu we właściwe ręce nie oddał?

— Ja to samo mówiłem — wtrącił pułkownik z tęskną myślą o kolacji.

Biały salonik wyglądał jasno, wesoło i gościnnie przy świetle wiszącej wielkiej lampy. Stół zastawiony był różnymi przysmakami. Kamerdyner i lokaj stali z boku i zapach delikatnego mięsiwa rozchodził się, łechcąc powonienie pułkownika przyjemną nadzieją gorącego kotleta, byle się tylko rozprawa o dziecku skończyła.

— A jakież to są te właściwe ręce, w jakie pięcioletnią sierotkę oddać miałem? — zapytał Lashmar.

— Rzecz prosta, dozorczyni ochronki.

— To samo właśnie mówiłem lordowi Lashmar — wtrącił znów pułkownik.

— To znaczy: że miałaby być wychowaną, jak prosta wyrobnica, jak dziecko nędzarzy?

— Wychowanoby ją na dobrą i uczciwą służącą — odparła milady — co byłoby dla niej bardzo stosownym i przyzwoitym losem. Czy wiesz, pułkowniku, że ja moim pokojówkom około trzydziestu funtów rocznie płacę? Powtarzam, Lashmarze, byłby to dla niej bardzo przyzwoity los, a nasze domy przytułków są obecnie tak dobrze prowadzone, że chętnie z nich służące biorą.

— Dopóki ja żyję, dziecko to do domu przytułku nie pójdzie — rzekł Lashmar spokojnie. — Sougley'u, czy jest tam która z kobiet?

— Tylko pokojówki milady.

Lady Lashmar miała dwie osobiste służące, które prawdę mówiąc, nie napracowały się przy niej bardzo, bo ta wielka dama była osobą czynną i bynajmniej sobie niedogadzającą. To też trzymała je więcej dla ostentacji, niż dla rzeczywistej potrzeby.

— Czy pozwolisz mi, matko, poprosić o coś twoją Barker? — zapytał lord Lashmar.

— Ależ i owszem.

Barker była pokojówką. Poczciwa ta trzydziestokilkoletnia kobiecina zapalała świece, porządkowała meble, czasami nawet raczyła użyć ściereczki od kurzu — w apartamentach lady Lashmar.

Wezwana, stawiła się natychmiast, śpiąca, ale uśmiechnięta.

— Zdaje mi się, że lord Lashmar życzy sobie, abyś się zaopiekowała tem dzieckiem, Barker — rzekła lady Lashmar. — Zabierz je więc i radź sobie z niem, jak możesz, a my siadajmy do kolacji. Musicie być straszliwie głodni, moi panowie.

— Wyznaję, że czuję w sobie próżnią — rzekł pułkownik, siadając z rozweseloną miną przy stole i rozkładając serwetę.

— Bracie, czyś ty na prawdę wdrapał się tak wysoko? — zagadnął Wiktor. — Myślę, że i ja bym to może potrafił; ale to musiało być porządnie trudna rzecz. Zazdroszczę ci.

— Spodziewam się, że nigdy nie będziesz miał sposobności, ani ochoty do popełnienia podobnego szaleństwa — rzekła lady Lashmar uszczypliwie.

Po raz pierwszy wywarła w słowach swoje rozdrażnienie, ale bladość jej pięknych rysów i gniewny blask oczów, zdradzały stan jej ducha od chwili, gdy ujrzała dziecko Boldwooda na rękach pasierba.

Z karnawału.



— Ja jestem śmierć...
— A ja fijołek...
— Cóż chcesz powiedzieć przez to, że jesteś śmiercią...
— To samo, co ty przez swój kwiatek — nic...

Bądź co bądź, była o tyle rozumną, że milczała. Lord Lashmar był tu panem, a ona, chociaż samowładna na pozór, nie miała rzeczywiście praw żadnych do wtrącania się w jego rozporządzenia. Jeżeli mu się podobało przywieść do zamku tego dzieciaka i wychować go jak najdroższego benjaminka, nic jej było do tego. To poczucie bezsilności rozdrażniało ją do reszty.

— Wiktorze! 'tyś już od dawna spać powinien! — wykrzyknęła. — Dobranoc pułkowniku, a raczej dzień dobry. Zostawiam panów ich własnemu przemysłowi.

Wyciągnęła rękę do pułkownika, pocałowała pasierba w czoło i odeszła z Wiktorem.

— Co to za dzielny zuch ten Lashmar — rzekł Wiktor, idąc z matką po schodach. — Taki spokojny, taki skromny, a taki odważny! Ach! cobym dał za to, żeby on biedak był prosty jak inni.

— A jabym dała za to wiele, żeby był rozsądny — odparła milady — i żeby nie był przywoził tutaj tego kopciuszka.

— O! ale jeżeli chce się małą zaopiekować, oddać ją gdzie do jakiej taniej szkoły, albo jakiego zakładu dla sierot — ma przecież na to dosyć pieniędzy.

Lord Lashmar nie posłał córki Boldwooda do taniej szkoły, ani żadnego zakładu. Przeznaczeniem Stelli, tak jej było na imię, było wychować się w domu angielskiego magnata i przyzwyczaić do wszelkich zbytków i wygód wyszukanych, jakie stanowią atmosferę szczęśliwych wybrańców fortuny.

Napróżno lady Lashmar protestowała przeciw adoptowaniu dziecka demagoga, dowodząc, że ukryta socjalistyczna żyłka odzywa się w jej pasierbie. Lord Lashmar był nieugięty.

– Postanowiłem to sobie, wracając wczoraj do domu — rzekł tym łagodnym, poważnym tonem, który lady Lashmar aż nadto dobrze znała. — Spilington i dziecko spali. Miałem dość czasu do namysłu i dobrze się nad wszystkiem zastanowiłem. Chcę wychować to dziecko, jak własną córkę. Wiele względów przemawia za mojem postanowieniem, a nie ma żadnego przeciwko niemu. Oddawna już pragnąłem zająć się jakąś małą, samotną istotką, do którejbym sie przywiązał i którąby wyłącznie mnie wszystko zawdzięczała. Mam dużo braterskiego uczucia dla Wiktora, ale on rzadko ze mną być może. Teraz się uczy, później będzie myślał o własnej karjerze. Ale takie opuszczone dziecko, które sobie wychowam, może mi dać właśnie tę pociechę i to przywiązanie, jakiego pragnę.

— Zobaczysz, że narobisz sobie tylko niepotrzebnego kłopotu. Przypuśćmy, żebyś się ożenił — cóż wtedy?

— Nie ożenię się nigdy i własnych dzieci mieć nie będę. A gdy mała dorośnie, będzie stanowiła jakiś łącznik pomiędzy mną a przyszłością. Powiedziano mi w ostatnich czasach — przypominasz sobie zapewne, matko, moją długą rozmowę z sir Wiliamem Spencerem, gdy tu był niedawno, że pomimo mego nędznego zdrowia, mogę żyć bardzo długo.

Lady Lashmar drgnęła lekko, ale siedziała w pewnej odległości od swego pasierba i z twarzą zwróconą ku oknu tak, że nie mógł widzieć wyrazu bolesnego zawodu, jaki po niej przebiegl. Od dawna wmówiła w siebie, że Hubert Lashmar długo nie pociągnie i że za lat kilka syn jej zajmie jego miejsce, a tu tymczasem dowiaduje się, że sir Wiliam Spencer, powaga medyczna, przepowiada mu długie życie!

— I myślisz sobie wychować towarzyszkę z dziecka takiego człowieka, jak Boldwood i jakiejś cygańskiej włóczęgi — wykrzyknęła z oburzeniem, niezdolna dłużej się hamować. — Nie bierzesz zgoła w rachubę jej dziedzicznych skłonności.

— Wierzę bardziej w wpływy wychowania i otoczenia, niż w dziedziczne skłonności. Dziecko ma piękne, szerokie czoło, jasne, orle spojrzenie, delikatne rysy, jednem słowem przedstawia się obiecująco.

— Jak żyję nie widziałam brzydszego stworzenia — rzekła lady Lashmar, rysując po stole nożem ze słoniowej kości. — Nie pojmuję doprawdy, jakim sposobem ty, taki miłośnik piękna, mogłeś się podobnym potworkiem zająć!

— Według mnie, nie jest to wcale brzydkie dziecko. Oczy ma błyszczące, jak gwiazdy. Mała jest tylko i śniada, ale zdaje mi się, że wyrośnie na bardzo ładną kobietę.

— Och! tobie bo się czasem takie dziwne rzeczy zdają!

— Nie gniewaj się matko! — prosił Lashmar łagodnie. — Dajmy na to, że jestem trochę ekscentrycznym. Natura tworząc mnie, nie trzymała się również prawidłowego typu — ale bądź co bądź, rzadko sobie jakichś wybryków pozwalam. Przyrzekam ci matko, że ten ostasni mój wybryk nie sprawi ci żadnego kłopotu. Dziecko pozostanie tutaj, ale będzie jak gdyby go nie było. Dam mu parę pokoików na ostatniem piętrze, przyjmę służącą i urządzę im, jak wspomniałem, parę pokoików. Tam będzie mieszkać, jadać, a jak jej towarzystwa zażądam, każę ją sobie do biblioteki przyprowadzić i na tem koniec. Najwyżej, jeżeli ją mama wypadkiem na schodach, lub korytarzu spotka.

— Rób jak chcesz, Hubercie. — Wszak to twój dom. Żąda ci się koniecznie zapowietrzyć go socjalizmem — niech i tak będzie.

— Mam nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy się mama z moją przybraną córeczką pogodzi i że kiedy nawet ona tak mnie, jak mamie na coś się przyda.

— Nigdy Lashmarze! Ze względu na ciebie, mogę znosić jej obecność, znosiłabym tak samo, gdyby ci przyszła fantazja jadowitą żmiję obłaskawiać; ale nie minie lat parę, a pożałujesz gorżko twojej wspaniałomyślności.

— Zobaczymy — odpowiedział Lashmar wesoło. — A teraz, kochana mamo, czy nie mogłabyś mi wskazać jakiej porządnej dozorczyni dla Stelli?

— Możnaby wziąść siostrzenicę Barker. Jej ojciec jest ogrodnikiem — wiesz pewno, a ona marzy tylko o tem, aby się dostać do służby przy dworze.

— Bardzo dobrze; chciałbym się z nią dziś jeszcze zobaczyć.

Lady Lashmar westchnęła, ale zgodziła się z życzeniem pasierba i nazajutrz wydała rozkazy. Nie widziała wstrętnej sobie sierotki od wczoraj. Biedactwo pozostawało wciąż pod opieką Barker w pokojach przeznaczonych dla służby, wyjąwszy pół godziny jakie przed śniadaniem, które w bibliotece lorda Lashmar spędziła.

Mała Stella nie tak łatwo oswajała się z nowem życiem. Bezustannie ze łzami i dziecinnym uporem nalegała, aby ją zaprowadzono do ojca. »Gdzie tatko! Ja chcę do tatki!« prosiła żałośnie. A Lashmar, choć filozoficznie i trzeźwo rozumujący na wielu punktach, nie mógł się jednak przezwyciężyć, aby prawdę temu maleństwu powiedzieć. Nie mógł zmrozić jej tem fatalnem słowem »ojciec twój nie żyje«. Wziął więc tylko dziewczynkę na kolana,

przytulił ją do piersi i upewnił ją, że kiedyś zobaczy ojca.

— Ale kiedy? Dziś? Teraz? — pytała Stella.

— Nie dzisiaj, kochane me dziecię. Tatko pojechał w daleką podróż.

— Ja chcę iść do tatki! puść mnie do tatki!

Przez kwadrans zacny młodzieniec certował się i męczył z upartem dzieckiem. W końcu zdołał je trochę uspokoić. Stella usiadła mu znowu na kolanach i patrzyła na niego swemi wielkiemi »gwiaździstemi«, jak je nazwał, oczami.

— Powiedz mi, maleńka, jak ci na imię?— pytał Lashmar, chcąc ją ośmielić.

— Stella.

— Stella! — To bardzo ładne imię.

— To znaczy gwiazda — rzekła dziewczynka. — Tatko mi tak mówił.

— Czy chcesz być moją gwiazdeczką? Czy chcesz mieszkać tu ze mną, bawić się w tym ogródku i pływać ze mną łódką po rzece?

Dziewczynka wyciągnęła szyjkę i wyjrzała przez wielkie okno na kwiatowy ogród i zielone trawniki parku, na błękitną wstęgę rzeki w dolinie. Śliczny to był krajobraz, dziwnie ponętny po nagich, ponurych okolicach Brummu, do którego przyzwyczaiły się jej dziecięce oczy.

— Nie! — rzekła stanowczo po chwili. — Nie chcę. — Wolę mieszkać z tatką.

I znowu z tą niewyczerpaną cierpliwością i z tą bezgraniczną słodyczą, jaka jest przywilejem tych, którzy kochają małe dzieci, Lashmar zaczął tłómaczyć Stelli, że podróż w jaką się udał jej tatko, potrwa długo, a minie lato i zima zanim powróci, ale że kiedyś zobaczą się niezawodnie.

— A ty tymczasem przestaniesz płakać, i będziesz grzeczną dla jego miłości — nieprawdaż, Stello? — prosił Lashmar. — Rodzice martwią się, gdy słyszą, że ich dzieci są niegrzeczne. Ale ty będziecz dobrą, gwiazdeczko i postarasz się słuchać mnie, żeby tatko był kontent.

Dziewczynka wielkim wysiłkiem biednego, dziecinnego serduszka, osuszyła łezki i dało się zaprowadzić Hubertowi do ogrodu, a potem przez zroszone łąki parku nad rzekę. Lashmar wsadził ją do łodzi i przez pół godziny pływał z nią, poczem wrócili do zamku, gdzie, jak mu potem Barker powiedziała, dziewczynka po raz pierwszy zjadła coś z apetytem.

Po południu Lashmar rozmówił się z siostrzenicą Barker, a że jej poczciwość z oczu patrzała, więc ugodził ją niebawem.

Dziewczynka miała się nazywać tylko Stella, nazwisko Boldwood powinno było pójść w zapomnienie, jako prowadzące na pamięć rzeczy nie zbyt pożądane. Następnie, z pomocą i radą Barker, Lashmar urządził swej wychowance dwa pokoiki w południowo-zachodniej wieży na drugim końcu zamku, zdala od wspaniałych apartamentów lady Lashmar i na wyższem piętrze, tak, że milady nie potrzebowała się obawiać, aby obecność, lub głosik sierotki dały jej się we znaki. Jeden z pokoików urządzony został jako salonik; w drugim stały dwa łóżka: dla dziecka i dozorczyni. Widok z tych wieżowych pokojów był przepyszny. Rozległa przestrzeń parku i wijąca się ponuro wstęga rzeki w opasaniu niskich wzgórz, wioska Avondale ze swymi czerwonemi dachami, wysoka wieża kościoła i porozrzucane wśród bogatych pastwisk wdzięczne, uśmiechnięte folwarki, ukazywały się oku. Jak na wiejski krajobraz, nie można było nic piękniejszego wymarzyć.

— Powinna zdrowo rosnąć w takiem otoczeniu, pomyślał Lashmar, poczem wydał siostrzenicy Barker niektóre rozporządzenia, samą zaś Barker wezwał na ważną naradę nad stanem garderoby swojej pupilki. Barker oświadczyła, że z pomocą Celestyny, paryzkiej panny służącej, da sobie radę, byle tylko potrzebne materjały były pod ręką. Lashmar prosił więc macochy, aby jej pozwoliła udać się do miasteczka, dla kupienia towaru potrzebnego dla dziecka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W biurze wywiadowczem...



— Chciałabym, aby mi pani dała pokojówkę...
— Dobrze — ale jaką?...
— Taką, wie pani, żeby miała oczy, a nie widziała, uszy, a nie słyszała...
— Rozumiem — ale to nie będzie droga...
— Mniejsza o to — mąż ją zapłaci...

Kara.

Baśń arabska.

W El-Kabar, starym bardzo grodzie,
Żył kapłan pewien, człek uczony —
W lekarskim biegły był zawodzie
I z cnót na wszystkie słynął strony,
Więc doń cierpiący szli gromadą,
A każdy wracał z dobrą radą...

Raz wzrok kapłana w owym tłumie
Padł na młodzieńca twarz znękaną,
Który, jak posąg, stał w zadumie,
Tam, pod świątyni białą ścianą —
I, gdy tłum miotał się, jak w wojnie,
Czekał na kolej swą spokojnie.

A była w twarzy tej młodzieńczej
Taka z cierpieniem już zażyłość,
Że kapłan spytał: „Co cię dreczy?" —
Arab zaś z cicha odparł: „Miłość!"...
I na pierś zwiesił głowę smutną,
A blady stał się, jako płótno.

I mówił dalej: „Kocham wiernie
„Dziewczynę z tej oazy jedną,
„A ona w zamian śmiech i ciernie
„I ból w mą duszę sączy biedną —
„I żadna jej nie wzruszy skarga —
„Śmieje się, gdy mną rozpacz targa...

„Dał mi ją ojciec, matka dała,
„Chciałem jej stworzyć raj na ziemi,
„Lecz próżną praca moja cała —
„Ona, skarbami gardząc memi,
„Nie chce zlitować się nademną,
„Mówiąc: „Nie kocham — to daremno!"

„A więc przed twoje dziś ołtarze
„Przychodzę pytać, trwogą zdjęty,
„Co takim, jak ja, czynić każe
„Ałłach — i prorok jego święty —
„Śmiech jej niech ścigać mnie przestanie,
„Wypełnię wszystko — radź kapłanie!"...

Kapłan w nim utkwił wzrok ponury
I rzekł: „Tak prawo chce zakonu:
„Każda niewiasta, z winy której
„Mąż jast ośmieszon — winna zgonu,
„Chyba, że winę swą, wśród braci,
„Męką całego życia spłaci!"...

Zbladła Araba twarz znękana,
Lecz przyjął wyrok ten w pokorze
I rzekł, ściskając dłoń kapłana:
„Idę wypełnić słowo Boże!"...
Grosz swój ofiarny przed próg rzucił —
I odszedł spiesznie — i nie wrócił...

Aż znów go z wiosną kapłan zoczył
I pyta; „Cóż?... zginęła marnie?" —
A młodzian błędny wzrok zatoczył:
„Nie! — rzekł — skazana na męczarnie!
„Zabić niewdzięcznej sił nie miałem —
„Więc w harem starca ją sprzedałem!"...

Juljan Łętowski.

Teatr — koncerta — widowiska.

Antonina Rigaud — tak p. Deslandes zatytułował swoją 3. aktową komedję, która w dobrem tłomaczeniu polskiem pani Otrem-

bowej, przedstawioną u nas została po raz pierwszy w zeszłym tygodniu. Jak ryba bez wody, tak autor francuski, nie może się obyć bez niewiernej żony. Jest ona także i w *Antoninie Rigaud* i to, właśnie, siedzi w tytułowej roli. Co prawda, romanse żony w tej komedji, przypominają po trosze „Naszych najserdeczniejszych“ i „Poczciwych wieśniaków“ i jeszcze tam coś z tego, gdzie żona struże rogi mężowi. Cała treść straszliwie drobna i straszliwie płytka, a postacie, nawet najgłówniejsze — rodzaj marjonetek z poruszającemi się oczyma... Figurek pobocznych, na kilka sekund ukazujących się na scenie — dosyć dużą gromadkę powystrzygał p. Deslandes, a wszystkie one grają role owych kół, bez których może się obejść i woźnica, i wóz, i konie... *Antonina Rigaud* wartości literackiej nie posiada żadnej, artystycznej nie wiele, scenicznej, niezawodnie, najwięcej — i ta ostatnia okoliczność wpływa na żywsze zainteresowanie się widza.

Pani Kwiecińska z głównej, tytułowej roli wydostała wszystko, co było do wydostania, choć nie możemy powiedzieć, aby takie postacie, leżały w charakterze i właściwości talentu tej znakomitej artystki. Wszystkie inne postacie, nie wyjmując nawet jenerała i jego córki, skreślone są przez autora banalnie, a talent aktorski, nie ma się o coz zaczepić. Główne role grali: pp. Chmieliński, Zawadzki, Woleński, Trapszo, oraz panna Czaplińska — mniejsze, lub zupełnie drobne: pp. Szobert, Milewski, oraz pani Czechowicz, panna Praun i jeszcze parę osób.

O *Aidzie* wspominamy tylko dlatego, że pani Kasprowiczowa śpiewała w tej operze po raz pierwszy w zeszłym tygodniu partję Amneris. Dzielna śpiewaczka, wyszła zwycięzko, a jakkolwiek cała partja za niska dla głosu pani Kasprowiczowej, nie zatarła w niej, ani jednej piękności. Nam by się zdawało, że Aida, byłaby odpowiedniejszą dla głosu pani K. Zresztą, tak, czy owak, pani Kasprowiczowa pobiła na głowę włoską sałatę, i stanowi wymowny dowód, że moglibyśmy się obejść bez podartych gardeł farbowanych i niefarbowanych włoszek, skoro mamy swoje własne śpiewaczki o głosie silnym, dźwięcznym, umiejętnie używanym i podpartym artystyczną inteligencją, a do takich, właśnie, śpiewaczek, należy pani Kasprowiczowa.

Partję króla, śpiewał po raz pierwszy p. Zegarkowski swoim prześlicznym, niskim basem, z którym, gdy artysta ten zechce, popracuje i postara się o to, może zajść bardzo.. wysoko...

O *Kupcu Weneckim* tyle już napisano, o pojmowaniu postaci Szajloka ze stanowiska komedji i dramatu, tyle się naprzeczano, że dzisiejszemu sprawozdawcy dziennikarskiemu, nic nie pozostaje więcej, jak tylko zanotować, iż *Kupiec Wenecki* był grany i że, jak np. w ubiegły piątek, grał p. Fiszer u nas po swojemu, to jest malując postać Szajloka farbami tragikomedji i silnej charakterystyki rasowej. Czy tak chciał Szekspir — nikt nie wie, ale, czy tak nie chciał — także nikt nie wie — że zaś inni artyści wielkiego talentu inaczej pojmowali i grali Szajloka, to nic nie dowodzi i w niczem nie powinno ścieśniać indywidualności talentu drugiego artysty.

O grze innych artystów których, jak to w sztukach szekspirowskich, występował cały legjon, nie mamy nic do nadmienienia, jak tylko to, że gra, biegła harmonijnie, że wystudjowanie postaci, było zgodne z ich duchem i tradycją artystyczną i, w ogóle, całe przedstawienie, równie, jak i wystawa, bardzo korzystne robiły wrażenie.

Z krakowskiego świata artystycznego.

Jak wiadomo, salon krakowskiej wystawy obrazów Towarzystwa sztuk pięknych, znajduje się w Sukiennicach i zwiedzać ją można codziennie (z wyjątkiem poniedziałków) od godziny 11. do 4. po południu. Nowością dla naszego grodu, jest wystawa wieczorna przy świetle elektrycznem i przy dźwiękach wybornej orkiestry 13. pułku. Trzy razy w tygodniu t. j. w środy, piątki i niedziele roją się salony Towarzystwa od licznych gości — a uczestnicy spędzają mile czas wieczorny od 7. do 9. Nowość tę zawdzięcza Kraków pomysłowemu sekretarzowi Tow. zachęty sztuk pięknych p. hr. Z. Cieszkowskiemu. Nieraz przy brzydkim dniu, każdy chcący przepędzić wieczór przyjemnie i pożytecznie, idzie na wystawę wieczorną — gdzie prócz dzieł naszych artystów — znajduje znajomych, z którymi o sztuce porozmawiać może i słyszy najnowsze dzieła muzyczne. Szczególniej w niedziele salony są szczelnie przepełnione. Jest to rendez-vous artystów malarzy, muzyków, dziennikarzy, artystów dramatycznych i w ogóle lubowników piękna. — Rozumie się, kto chce spokojnie oglądać wystawę, idzie w dzień, bo wtedy nie ma tłoku i jest czas odpowiedniejszy na skupienie myśli. — Wiele pięknych obrazów przesunęło się w ostatnim czasie przed naszemi oczyma. Dzieło Fałata „Naganka“ obraz olejny, dalej akwarella Juljusza Kossaka w kształcie wachlarza, obrazy Malczewskiego, Stasiaka, Brozika, Tetmajera i wielu innych budziły zajęcie zwiedzających wystawę. Dziś piszemy o wystawie tylko w krótkości — później zajmiemy się nią szczegółowo.

Z teatru mamy miłą wiadomość do zanotowania, iż tak panna Wojnowska, p. Rygier i inni pozostają i nadal członkami teatru krakowskiego, a krążyły o ich ustąpieniu różne tendencyjne wieści, jak się pokazuje teraz nieprawdziwe, a przynajmniej, nie oparte na dokładnych informacjach. *Maurycy Sieber.*

Sylwetka.

Mówiono — że to dama na wskróś wykształcona!
Że blask rzuca na ciemne swojej świty rzesze,
Że serce jak, Panteon ma też wykształcona,
W którem iskry miłości cudzy bożek krzesze —
Ale ojczystym duchem... gardzi wykształcona!
I miast Pegaza, zawsze, ku zmysłów uciesze,
Bezpieczeństwu, wierności... bierze wykształcona
Wierzchowca od Bidama — i w świat na nim czesze...

Fr. Lasocki.

Doniesienia prywatne i publiczne.

Od dłuższego czasu, zakład fotograficzny p. Goldberga we Lwowie, swojemi pięknemi pracami, zwraca na siebie powszechną uwagę. Rzeczywiście, zakład ten można bez żadnych zastrzeżeń nazwać artystycznym zakładem, bo wszystko, co tylko sztuka fotograficzna w ostatnich czasach zdobyła, p. Goldberg z umiejętnością i talentem artysty zastosowywa. W tym czasie p. Goldberg zdjąwszy widoki ze Lwowa i wykonawszy je z nadzwyczajną dokładnością i artyzmem, ofiarował takowe księciu Sanguszce, marszałkowi krajowemu i arcyksięciu Salwatorowi, który tę pracę zakładu fotograficznego p. Goldberga obdarzył niezwykłemi pochwałami. Taką samą serję widoków Lwowa, ofiarował p. Goldberg prezydentowi miasta p. Mochnackiemu. Portretowe prace z zakładu fotograficznego p. Goldberga, odznaczają się uderzającem podobieństwem, czystym rysunkiem i miękkością. Przytem nadmienić należy, iż ceny za portrety fotograficzne różnych wielkości i w najrozmaitszych pozach, są bardzo przystępne, a akuratność i rzetelność w przyjętych na siebie zobowiązaniach, wzorowa.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Y-m-y-m w Oświęcimiu. Jak pani widzi, nie sprawdziły się przeczucia. Drukuje się z pewnemi zmianami. O dalsze prace prosimy.

Cyd. we Lwowie. Socjalizm u nas, taki, jaki jest — jest wrzodem. Przetnie go kiedyś... szabla polska, jeśli sam wprzód nie pęknie.

Pan Szczurek w Dobromilu. Winien nam pan jesteś zaległą prenumeratę od 1. września zeszłego roku. Prosimy o nadesłanie należytości.

Ku-ku. Dobrze, ale nazwisko prawdziwe musimy wiedzieć dla siebie.

Autorom wierszy: „Pies i kot“, „Kanalje“, „Hej ramię do ramienia“ i „Romans nad romansami“ — utwory panów drukowane nie będą.

Nadesłane.

Przedsiębiorstwo pogrzebowe, znane we Lwowie pod nazwą **Entreprise des pompes funebres** — jest, można powiedzieć, jedynem dziś u nas, które odznacza się wszystkiemi zaletami, jakie tego rodzaju przedsiębiorstwa mieć powinny. Przedewszystkiem, wieje od niego duch chrześcijański, a co za tem idzie, uczucie delikatności, godności i umiarkowania. Pan Kurkowski, właściciel firmy, powoduje się, nietylko samym interesem, lecz w wielu razach miłosierdziem. Nic też dziwnego, że dziś wszystkie niemal pogrzeby w mieście uskutecznia firma Kurkowskiego, bo pozyskała powszechne i niepodzielne zaufanie przez swoją rzetelność, delikatność i umiarkowanie w cenach, a przytem cała służba, przyrządy, uprzęż — jednem słowem, co do takiego smutnego obrzędu należy — jest u Kurkowskiego wzorowe, czyste, estetyczne, a jak potrzeba — wspaniałe. (1-2 5565).

Zwracamy uwagę na ogłoszenie **Dra Freysingera w Lisku.** Ogłoszenie to dotyczy szczepienia ospy, rzeczy, jak wiadomo, niezmiernie ważnej dla każdej rodziny. Dr. Freysinger pod każdym względem zasługuje na publiczne zaufanie, a nawet wdzięczność, gdyż jako specjalista lekarz daje zupełną rękojmię zdrowej krowianki. Pomijając już to, że ta krowianka na ostatniej wystawie krakowskiej, odznaczona została medalem rządowym, sama czynność wyrabiania jej przez fachowego lekarza i do tego tu w kraju, jest niezmiernie ważnym szczegółem. Dla tego wszystkim rodzinom gorąco zalecamy, aby po krowiankę do szczepienia ospy swoim dzieciom udawali się wprost do *Dra Freysingera w Lisku*, a mogą być spokojni o zdrowie swoich dzieci. Bliższe szczegóły znajdzie każdy w ogłoszeniu.

5288 st.—30

Z Tarnopola.

Bardzo słusznie jakiś mądry człowiek napisał, że kto pracuje w swoim fachu pożytecznie i uczciwie, tem samem jest patrj tą, bo pracą swoją przyczynia się do ogólnego dobrobytu. Tacy ludzie są pożądani, szczególniej u nas na prowincji, gdzie jak wiadomo, kupiec przemysłowiec walczyć musi z różnemi przeszkodami. Wśród przedsiębiorstw na zdrowych kupieckich podstawach opartych, cukiernia p. Dąbrowskiego w Tarnopolu, niezawodnie należy do najlepszych zakładów. Pod względem urządzenia, a szczególniej też pod względem cukierniczych wyrobów, zakład p. Dąbrowskiego, nie ustępuje ani na krok najpierwszorzędniejszym cukierniom, nawet w wielkich miastach. Złożyły się na to, przykładna staranność i rzetelność właściciela, oraz niezwykłe fachowe jego wykształcenie. To też p. Dąbrowski, nietylko jako właściciel cukierni i kupiec zażywa powszechnego uznania, lecz jako gorliwy obywatel, cieszy się szacunkiem i sympatją. Praca i rzetelność sprowadziły dla przedsiębiorstwa p. Dąbrowskiego dobre owoce, a szlachetny charakter i przymioty jego serca, zjednały mu imię dobrego i bardzo pożytecznego obywatela.

(5495-st.-7).

Wypróbowany przez pierwsze powagi fachowe i lekarskie buljon krajowego wyrobu w Łapszynie, zasługuje ze wszech miar na ogólne uznanie i rozszerzenie tego produktu, który, jak twierdzą doktorowie medycyny pp. Radziszewski prof. Uniwersytetu lwowskiego, dr. Schramm docent Uniw. lwowskiego, oraz dr. Zygmunt Kniaziołucki, że buljon wyrobu łapszyńskiego p. Brzeżany wypróbowany kilkakrotnie u chorych, jak i u zdrowych, daje najlepsze dowody o swej zawartości, obfitującej w części pożywne, jest czysty i zdrowy, wygotowany parą, przez co nie może być przypalony i tem samem zastępuje w zupełności tak zwane doskonałe ekstrakty mięsne zagraniczne, a nawet, że dla chorych żołądków jest daleko pożywniejszy i strawniejszy od zagranicznych tego rodzaju preparatów, przyczem znacznie tańszym.

Mnóstwo świadectw od osób zajmujących wysokie stanowisko w kraju i zagranicą, przy zamówieniu przesyła zarząd dóbr w Łapszynie gratis. Buljon wyrabiany jest w 3 gatunkach i tylko wtedy jest prawdziwym, jeżeli jest wyrobionym w kształcie podkowy z krzyżem, zaś zagranicą tylko w tabliczkach płaskich po 25 dek. Cenę wskaże ogłoszenie w niniejszym numerze. 5378—7—7.

W mleczarni pani Jaworskiej przy ulicy Ormiańskiej we Lwowie L. 2., oprócz dobrego nabiału i wyśmienitej kawy wiejskiej, dostać można także wikt domowy, przy bardzo umiarkowanej cenie. Wiele osób stołujących się od dłuższego czasu w mleczarni p. Jaworskiej, wyrażają się najpochlebniej o jej kuchni, potrawy bowiem są zawsze czysto i bardzo smacznie przyrządzane, a uprzejmość gospodyni ujawnia się na każdym kroku, Przeto z całą sumiennością polecamy P. T. Publiczności zakład p. Jaworskiej. (5543-4-3).

Zakład kąpielowy św. Anny

we Lwowie, ul. Akademicka l. 10

otwarty codziennie od godziny 6. rano do 9. wieczór.

Kąpiele Rzymsko-iryjskie — Łaźnia parowa — Pływalnia na lato i zimę z ogrzaną wodą i powietrzem — **Tusze letnie** od maja do września.

Kąpiele wannowe wszelkiego rodzaju.

Urządzenie wytworne. — Ceny umiarkowane. 5364—st.—16.

Z Grybowa donoszą, że p. Paszek w tamtejszym browarze wyrabia doskonałe piwo, które niezmiernie chwalą w całej okolicy, na co też w zupełności zasługuje, bo jest smaczne i zdrowe. Pan Paszek, z przykładną troskliwością i znawstwem fachowem prowadzi ten browar, bez wątpienia mogący się zaliczyć do pierwszorzędnych tego rodzaju zakładów. Panuje tam ład, czystość wzorowa i obfitość w magazynach, tak samego wystałego piwa, jak i materjałów potrzebnych do jego fabrykacji. Nic więc dziwnego, że piwo to posiada ogólne uznanie w całej okolicy. 5504 4—2.

Obrońca w sprawach karnych.

Dr. Seweryn Paneth

mieszka przy ulicy Sykstuskiej l. 29. I. piętro. (5523—6—6).

Dr. Teofil Urich, lekarz chorób wewnętrznych, *specjalista w chorobach nosa, gardła i płuc*, po przebytych dłuższych studjach na klinice p. p. profesorów Schröttera i Schnitzlera, we Wiedniu, ordynuje od 3—5 we Lwowie przy ulicy Jagiellońskiej liczba 3. 5280-12-12.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.